



Wszyscy kochamy samochody. Fascynuje nas piękno ich linii, perfekcja wykonania, wyjątkowość, osiągi. Często jednak zachwyt tymi dziełami ludzkiego umysłu i ludzkich rąk przestania nam istotę ich istnienia. To potrzeba przemieszczania się oraz odwieczny pęd do poznawania pchnęły ludzkość do tego wspaniałego wynalazku. Z czasem stał się on jednak czymś więcej niż środkiem lokomocji. Jest obiektem marzeń, nierzadko przedmiotem pożądania, budzącym wielkie emocje. Po trosze zapomnieliśmy, iż samochody mają przenosić nas z miejsca na miejsce. Dziś możemy podróżować komfortowo i niezależnie, poznając nowe miejsca i obyczaje, nawiązując nowe kontakty, zawiązując nawet przyjaźnie. To dzięki podróżom poszerzamy swoje horyzonty, poznając nasz świat.

Właśnie dlatego podróżuję swoim samochodem tak często, jak tylko życie osobiste i zawodowe pozwalają mi. Każda podróż to wielka przygoda i wspaniała rozrywka. Jedynie podróżowanie samochodem daje tę wyjątkową wolność wyboru, dzięki której można obrać nowy cel w dowolnym niemal momencie. Podróżując na czterech kołach zobaczyłem wielką połać naszego pięknego kraju, Słowację, Czechy, Węgry, Chorwację aż po Dubrownik, Niemcy, Francję, Austrię, Szwajcarię, Włochy po Toskanię, Danię, południową Szwecję, Belgię, Holandię, Anglię, Irlandię, Luksemburg, czy prowincję Ontario w Kanadzie. Samochodem przejechałem przez najdłuższy w Europie most, łączący Kopenhagę z Malmö Oresund, czy słynne alpejskie serpenty prowadzące do przełęczy Stelvio. Widziałem wystawy samochodowe w Londynie, Amsterdamie i Genewie, muzea Porsche, Mercedesa czy Ferrari, największą katedrę Europy w Kolonii, Legoland, Goodwood Festival of Speed, czy eliminacje do mistrzostw Polski w wyścigach na ćwierć mili w Pile. Choć było mi dane zobaczyć tak wiele, lista miejsc, które chciałbym jeszcze zobaczyć jest ciągle długa, wręcz nieskończona. Każdą wolną chwilę, w miarę swoich możliwości spędzam więc na podróżowaniu samochodem.

Zeszłoroczny zjazd BMW Club Europe odbył się w Szwajcarii, jednak praca stanęła na mojej drodze w Alpy. W tym roku los był łaskawy. Zaświtała więc myśl, by wyruszyć w długą podróż przez Niemcy, Francję i Hiszpanię, aż do Portugalii. Urlopowe „okienko” mojej Fiancée, Dominiki i moje było jednak zbyt ciasne na dłuższy pobyt w Portugalii. Zabrakłoby czasu na powrót do domu i mój ponowny wyjazd służbowy do Anglii. Wpadłem więc na pomysł, by pobyt w Portugalii wydłużyć i zamiast wracać do kraju, tracąc czas i paliwo, pognać prosto do Liverpool. Dominika powróciłaby do kraju samolotem, z Londynu. Urlop był więc zaplanowany. Na kilka tygodni przed wyjazdem okazało się, że portugalski motocyklowy klub BMW wycofał się z organizowania zlotu. Doszliśmy jednak do wniosku, że do Portugalii pojedziemy mimo tego. BCE poprosił o pomoc BMW Auto Club Portugal. Zorganizowano więc naprędce trzydniowe spotkanie „Happy Sojourn in Our Midst”. Mogłem zarezerwować hotel w Estoril na trzy dni. Planowanie na tym zakończyłem, ponieważ mogliśmy sobie pozwolić na dowolność dysponowania czasem i elastyczność.



Fot. 1. Skwer Kościuszki, Gdynia. (foto autor)



Fot. 2. 8000 km później, doki Liverpool. (foto autor)

Wyjechaliśmy z Trójmiasta późnym rankiem 15-tego czerwca, by nie ograniczyć się do oglądania Europy z okna pędzącego samochodu. Pierwszy etap podróży to przelot dobrze znaną mi trasą Gdynia – Szczecin. Nawierzchnia została odnowiona w znacznej części, więc jazda jest bardziej komfortowa. Nie znaczy to oczywiście, że można owe 355 km przejechać szybciej. Wręcz przeciwnie. Ograniczeń prędkości, fotoradarów, wysepek i przewężeń jest dużo, a co za tym idzie, trudno jest jechać szybko i płynnie. Droga jednopasmowa wymaga jednak częstego wyprzedzania, a zatem mogę nacieszyć się w pełni możliwościami samochodu. Duży moment obrotowy silnika (415 Nm), dostępny w 100% już od 1400 obr/min gwarantuje wspaniałą elastyczność, można więc błyskawicznie przyspieszać bez wpinania niższego biegu. Oczywiście, często schodzę nawet o dwa biegi w dół, by usłyszeć ten piękny warkot sześciu cylindrów, cichutki świst turbin i popatrzeć z satysfakcją w lusterko wsteczne. Zawieszenie wspaniale radzi sobie z nierównościami asfaltu, a dzięki obniżeniu i sztywniejszej od standardowej nastawie (pakiet M Sport), skutecznie ogranicza ruchy boczne nadwozia w zakrętach. Pomagają w tym także opony Run on Flat. Układ kierowniczy pozwala na niemal sportową precyzję i szybkie komendy przy dużych prędkościach auto egzekwuje dokładnie i z łatwością. Jazda szosą jednopasmową jest w tym samochodzie ekscytująca i lubię ją chyba bardziej niż szybką monotonię autostrad. Przelot do granicy w Kołbaskowie zajęł nam około czterech godzin. Jechało się dość dobrze pomimo ruchu, a TomTom skutecznie chronił mnie przed fotoradarami. Polecam subskrypcję każdemu posiadaczowi TomTom'a. Obejmuje ona nie tylko Polskę, ale całą Europę.



Fot. 3 & 4. Doskonale zestrojone zawieszenie i precyzyjny układ kierowniczy pozwalają na bardzo ostry styl jazdy. (Dominika i Syn autora, Paweł)

Niemieckie autostrady, jak zwykle, pozwoliły na wiele radości z jazdy z dużą prędkością. Odcinki bez ograniczeń wykorzystywałem do granic możliwości, o ile ruch na to zezwalał. Elektroniczny limit maksymalnej prędkości osiąga się bez większego wysiłku (licznikowe 260 km/h równa się wskazaniu GPS 248 km/h – ech, ta niemiecka precyzja). Samochód przyspiesza powyżej 200 km/h równie płynnie, jak przy

prędkości 100 km/h. Trzymanie się drogi jest wręcz perfekcyjne. Prędkości niemal nie odczuwa się. Układ kierowniczy (bez opcjonalnego wspomagania adaptacyjnego, z którego świadomie zrezygnowałem po przeczytaniu testów tego modelu w prasie angielskiej) jest nadal bardzo precyzyjny, jednak daleki od nerwowości, czy zbytnej czułości. Samochód prowadzi się niemal równie łatwo jak przy dużo mniejszych prędkościach, choć ruchy kierownicy muszą być uważne, bardziej przemyślane. Jazda takim autem to czysta przyjemność, bez względu na prędkość.



Fot. 5 & 6. Ergonomia i stylistyka są wzorcowe: nawet długie trasy pokonuje się z przyjemnością. (foto autor)

Dominika przejęła kierownicę. Rozstawałem się ze swoim fotelem z nutką smutku. Świetne wyprofilowanie fotela, oparcia i zagłówka, a także szerokie możliwości regulacji siedziska, części lędźwiowej oparcia oraz trzymania bocznego sprawiają, że wielogodzinna jazda nie męczy, jest taką samą przyjemnością na początku, jak i na końcu długiej podróży. Ergonomia jest wręcz wzorcowa i kierowca z łatwością może kontrolować wszystkie urządzenia. Dotyk skóry i zawsze chłodnego aluminium dodają tylko smaku i utwierdzają w przekonaniu, że siedzi się w wyjątkowym samochodzie.



Fot. 7 & 8. Doskonała jakość użytych materiałów i idealne dopasowanie wszystkich elementów dodają kabinie posmaku ekskluzywności. (foto autor)

Holandię przejechaliśmy nieco wolniej. Spory ruch i zwyczajowo powolna jazda w tym kraju skutecznie wyhamowały zapał mojej Ukochanej. Belgijskie autostrady były również nieco zatłoczone, więc granicę Francji przekroczyliśmy już po godzinie dwudziestej. Ponieważ plan pierwszego dnia podróży wykonaliśmy, postanowiliśmy zatrzymać się w jakimś nieznanym miasteczku. Zjechaliśmy z autostrady by poszukać hotelu w miejscowości Valenciennes. GPS wskazał nam kilka hoteli, jednak żaden nie wzbudził naszego zaufania. Za trzecim razem trafiliśmy na rynek i zaparkowaliśmy przed „klimaciarskim”, jak to określa Dominika, hotelem. „Auberge du Don Fermier” to wiekowy hotel, utrzymany w starym stylu. Nasz pokój miał bardzo mocno przechyloną podłogę, wanna stała niepewnie na przykrytych wykładziną płytach



piłśniowych, a muszla klozetowa chybotą się niebezpiecznie przy niefrasobliwych ruchach. Ale Dominika była wniebowzięta. Zabytkowe meble, zegary, zbroje i mnóstwo starych bibelotów dawały nieodpartą wrażenie cofnięcia się w czasie o kilkaset lat. Ja preferuję raczej styl nowoczesny, jednak entuzjazm Dominiki nieco udzielił mi się. Ostatecznie, nieczęsto śpi się w takich miejscach.



Fot. 9 & 10. Hotel „Auberge du Don Fermier” przywitał nas krzywą podłogą i ciepłą wiekową atmosferą. (foto autor)

Kuchnia hotelowa była już nieczynna, więc pomaszzerowaliśmy w poszukiwaniu stawy. Niewiarygodna wręcz intuicja Dominiki zaprowadziła nas do restauracji polecanej w przewodniku Pascal. To nie lada gratka zważywszy, że tylko około 200-tu restauracji w całej Francji znalazło się na stronach owego przewodnika. Wino było pyszne, a sałatka z lokalnym serem zaspokoila moje potrzeby z nawiązką. Dominika, jak zwykle, wyszukała jakąś niespotykaną u nas rybę i delectowała się jej smakiem, komplementując szefa kuchni. Do swojego „krzywego domu” wróciliśmy w szampańskim nastroju. Po dniu spędzonym za kierownicą, spacerze i sesji zdjęciowej wśród hotelowych staroci zasnęliśmy natychmiast. Poranek rozpocząłem od utraty równowagi przy wstawaniu z łóżka. Zapomniałem o pochyłej podłodze i brak oczekiwanej prostopadłości podłogi w stosunku do linii sił pola magnetycznego Ziemi zakończył się niekontrolowanym dryfem w kierunku stojącej przy oknie opatrności pod postacią fotela. Skończyło się na śmiechu, ale nie polecam stosowania takich rozwiązań w budownictwie. Po pysznym, francuskim śniadaniu Dominika zasiadła do pracy, a ja próbowałem dojść do ładu ze swoim komputerem. Stał się nieznośnie chimeryczny i czułem zbliżający się koniec naszej sześćoletniej przyjaźni.



Fot. 11, 12 & 13. Pyszna kolacja oraz niepowtarzalna atmosfera hotelu wprawiły nas w szampański nastrój. (foto Dominika i autor)

W dalszą drogę wyruszyliśmy dopiero po spacerze, około południa. Plan podróży obejmował przejechanie całej Francji i nocleg już w Hiszpanii. Znając kompletny brak poczucia humoru francuskiej policji, postanowiłem jechać spokojnie, w ramach obowiązującego w tym kraju ograniczenia prędkości. Francuskie autostrady należą jednakże do jednych z najlepszych w Europie. Nawierzchnia jest równa, jednolita, pobocza szerokie, a parkingi świetnie usytuowane, oddzielone szerokim pasem zieleni od monotonnego szumu. Niestety, mój TomTom nie chciał pokazywać pozycji fotoradarów. Musiałem coś przeoczyć uaktualniając bazę danych. A może to Dell znów był złośliwy? Światło błysnęło mi w oczy raz, przy niewielkim przekroczeniu prędkości, podczas jazdy w kawalkadzie samochodów. Nie wiem nawet, czy błysk dotyczył mnie. Czas pokaże. Udało się jednak nadrobić trochę czasu, kiedy jegomość jadący samochodem z holenderską rejestracją przemknął z mojej lewej strony. Puściłem się więc za nim. Jechaliśmy z prędkością przekraczającą często 200 km/h przez ponad godzinę, zmieniając się na pozycji lidera. Mieliśmy chyba sporo szczęścia, ponieważ inne auto na holenderskich numerach zostało zatrzymane przy bramkach opłaty. Policjant przyglądał się nam bacznie. Czy wiedział o naszym „wybryku” nie dowiemy się już chyba nigdy.

Po przejechaniu granicy z Hiszpanią, Dominika wskazała na małą miejscowość Hondarribia. Zjechaliśmy z autostrady i błędząc nieco dotarliśmy do malutkiego, malowniczego porciku ze starym miastem na wzgórzu. Ponownie z pomocą TomTom'a, znaleźliśmy porządny hotelik, zaparkowałem auto i wyruszyliśmy na kolację. Mała restauracyjka z salą na pięterku okazała się po raz kolejny trafnym wyborem Dominiki. Podana faszerowana papryka była wyjątkowa i długo będę wspominał jej słodycz. Kolację skropiliśmy lokalnym winem, które nie było być może tak pełne w smaku jak południowe trunki, za to olśniewało delikatną świeżością i owocowym posmakiem. Do kolacji pasowało idealnie: nie górowało smakiem nad potrawami, lecz delikatnie podkreślało ich indywidualność, przyjemnie odświeżając zmysły.



Fot. 14. Przytulne pięterko lokalnej restauracji. (foto autor)



Fot. 15. Każda kamienica w Hondarribii to swoiste dzieło sztuki. (foto autor)

Poranek 17-tego czerwca przywitał nas pysznym śniadaniem w hotelowej restauracji. Bogactwo wyboru pieczywa, serów, wędlin, jogurtów, czy powideł i miodów przekroczyło nasze najśmielsze oczekiwania. Objadłem się wręcz nieprzyzwoicie. Syci i wypoczęci, powędrowaliśmy na spacer na wzgórze. Wiekowe kamienice i nowe budowle, utrzymane w starym stylu wzbudzają zachwyt. Różnorodność ułożenia drewnianych belek w elewacjach, wymyślne balustrady balkonów i werand, a także kolorystyka domów przywodziły na myśl zadbane bawarskie miasteczka. Wielość napotkanych wycieczek dowodziła, że zabytki Hondarribii są powszechnie znane. Mały port przycupnął w zatoce, która dawała schronienie dawnym żeglarzom i zapewniała handlowcom szybki przeładunek towarów. Miasteczko to niewątpliwie miało w swej historii czasy świetności i bogactwa. Hondarribię pożegnaliśmy oczarowani jej urokiem już popołudniu.





Fot. 16. Poranny spacer po wzgórzu starego miasta. (foto autor)



Fot. 17. Malowniczy porcik Hondarribia w głębi niewielkiej zatoki. (foto Dominika)

Przejazd przesmykiem między Zatoką Biskajską a Pirenejami był wspaniały. Autostrada jest wąska i bardzo kręta, większe prędkości nie wchodzi więc w grę. Są wręcz niewskazane – tak piękne pejzaże otaczają nić autostrady. Aż trudno skupić się na prowadzeniu samochodu. To jedno z tych niepowtarzalnych miejsc, które odcisnęły piętno na moim poczuciu estetyki. Wspaniałe jest to, że Baskowie nie zniszczyli uroku swej krainy nowoczesną, inwazyjną zabudową. Cieszyła mnie świadomość powrotu tą samą trasą.



Fot. 18 & 19. Zapierające dech w piersiach pejzaże otaczające baskijską autostradę. (foto Dominika)

Trudno było oprzeć się porównaniu hiszpańskich autostrad z niemieckimi. Zróżnicowane ukształtowanie terenu spowodowało, że autostrady w Hiszpanii są pełne zakrętów, wzniesień i wiaduktów. Tu monotonia rodem ze środkowych Niemiec jest nieznaną. Malowniczość otaczających gór sprawia, że nie sposób znużyć się, lawirując między wzniesieniami. Muszę przyznać, że jazda przez Hiszpanię była ogromnie przyjemna. Fotoradary oznaczone są tablicami ostrzegawczymi, więc ryzyko wypadki jest stosunkowo niewielkie. Dało się zatem pojechać trochę szybciej.

Dominika lubi planować podróże, przestudiowała więc dokładnie przewodnik po Hiszpanii i nakazała postój w starym mieście Salamanca. Liczba zabytków przyprawiłaby o zawrót głowy najwytrawniejszych turystów. Postanowiliśmy więc przenocować tam, by obejrzeć miasto w świetle latarni. Warto było. Stare kamienice i kościoły, bogato oświetlone, tworzyły niepowtarzalny klimat. Historię czuło się na każdym kroku. Po kolacji, o której trudno byłoby rozpisywać się, udaliśmy się na zasłużony odpoczynek. Po porannym spacerze i obejrzeniu starorzemieńskiego mostu wyruszyliśmy dalej.



Fot. 20. Nowa katedra, Salamanca. (foto autor)



Fot. 21. Plaza Major, Salamanca. (foto autor)

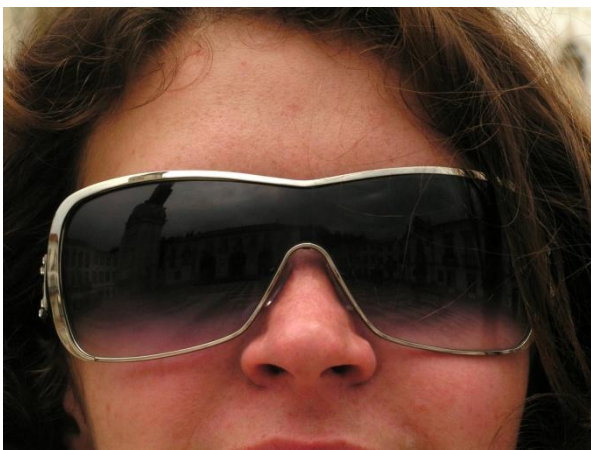


Fot. 22. Casa de las Conchas, Salamanca. (foto autor)



Fot. 23. Starorzyski most, Salamanca. (foto autor)

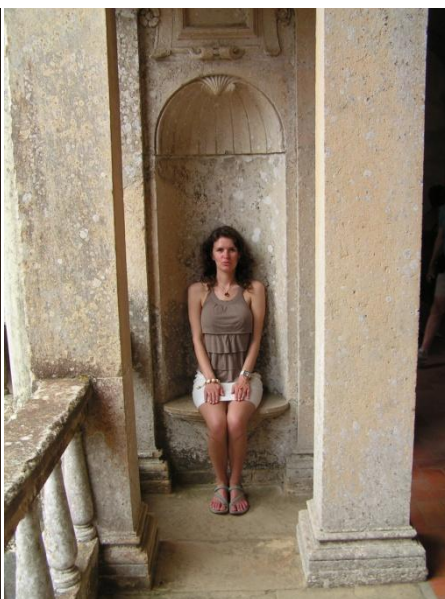
Antonio Mota, prezes portugalskiego klubu BMW zaprosił wszystkich uczestników na kolację w przeddzień zlotu, 18-tego czerwca. Musieliśmy więc dojechać do Estoril przed wieczorem. Mieliśmy jednakże do pokonania niewielką odległość, zatem kilkugodzinny postój w Tomar nie stał na przeszkodzie. Stare miasto leży pomiędzy wysoką górą, a rzeką. Geometria rynku i otaczających uliczek nie jest odkrywczą, ale nadaje miasteczku charakter przyjaznego turyście. Obiad w małej karczmie był tak prosty i pyszny, że szczerze pochwaliliśmy szefową kuchni. Jej ubiór przypominał raczej kuchtę połową z czasów II Wojny Światowej, jednak zamiłowanie do konwersacji z gośćmi karczmy uznaliśmy za przejaw pasji i dbałości o ukontentowanie klientów.



Fot. 24 & 25. Stare miasto Tomar leży u podnóża wzgórza, na którym swoją siedzibę zbudowali Templariusze. (foto autor)



Zasadniczym celem naszej wycieczki były ruiny Konwentu Chrystusa na wzgórzu. Była to pierwsza i największa wówczas siedziba zakonu Templariuszy. Zamek otaczają solidne fortyfikacje, broniące dostępu z każdej strony. Ogrom zabudowy i przepych wewnątrz wskazuje na nieprzeliczone bogactwo zakonu. Ściany wyłożone są kaflami, a elewacje i mury ozdobione są bogatą sztukaterią i rzeźbami. Mnóstwo tu przejść, schodów, krużganków, podwórczy. Sama kuchnia przyprawia swym rozmiarem o zawrót głowy. Zamek pożegnaliśmy tradycyjną już fotką z autem w pierwszym planie. Było po siedemnastej, kiedy wjechaliśmy na autostradę. Nie obyło się bez błędzenia i żywej polemiki na temat obranego kierunku. TomTom zdał się na nic, kiedy znaleźliśmy się na nowo wybudowanym odcinku autostrady.



Fot. 26, 27, 28, 29 Konwent Chrystusa, siedziba Zakonu Templariuszy, Tomar. (foto Dominika i autor)

Fot. 30. Wąskie uliczki Tomar. (foto autor)

W hotelu w Estoril zameldowaliśmy się niecałe dwie godziny później. Uroczysta kolacja na cześć zagranicznych gości zlotu odbyła się w zaprzyjaźnionej portugalskiej restauracji, położonej wśród okolicznych wzgórz. Antonio był tak miły, że przesłał współrzędne geograficzne restauracji sms'em. Niestety, GPS wyprowadził nas na manowce, jak później okazało się, niedaleko właściwego miejsca. Błądziliśmy jednak dłuższą chwilę, zanim rozpoznaliśmy wskazówki topograficzne. W restauracji Quinta de Santo Antonio czekali już na nas gospodarze i wszyscy goście. Dość, że poznaliśmy wielu pasjonatów BMW z różnych krajów Europy. Spotkaliśmy się wreszcie także z Jurkiem i jego rodziną, oprócz nas jedynymi przedstawicielami naszego klubu z Polski. Wielu uczestników zlotu znało się z poprzednich spotkań, więc atmosfera była bardzo przyjazna. Gościnność naszych nowych przyjaciół z Portugalii nie ustępowała niczym naszej polskiej tradycji. Późna pora powrotu do hotelu oznaczała krótki wypoczynek.





Fot. 31 & 32. Gościnność i serdeczna atmosfera powitalnej kolacji ujęły nas. (foto nieznanego biesiadnika)

Na punkt zborny zlotu wyznaczono parking hotelu Baia w Cascais. Stojące w dwóch rzędach samochody były piękne. Nie spodziewałem się zobaczyć tak wielu modeli historycznych: pięknie odrestaurowane 2000, smukłe 635 CSI, 1602, rzadko spotykany Z1, kabriolety i coupe serii 3, limuzyny klasy 5 i 7. Jedną stronę parkingu zajmowały motocykle, które różnorodnością nie ustępowały samochodom. Biegałem więc z aparatem nieprzytomnie, strofowany przez Dominikę. Zadawała pytania dotyczące mojego zdrowia psychicznego. Moje zainteresowanie „małego chłopca” wzbudzało raczej sympatię. Właściciele aut chętnie opowiadali historie swoich skarbów, często ekscytując same w sobie. Biegałem więc tak od auta do auta dopóki Antonio nie zdecydował, że sfotografowałem już wszystkie samochody i motocykle. Po krótkiej introdukcji i wspólnym, zainicjowanym przeze mnie zdjęciu, wyruszyliśmy w szyku na trasę, oplatając nieco snobistyczne, nowobogackie Cascais długim, kolorowym korowodem aut i motocykli BMW, oznaczonych tablicami rejestracyjnymi z Austrii, Belgii, Chorwacji, Holandii, Niemiec, Polski, Portugalii i Szwajcarii.



Fot. 33, 34, 35 & 36. Pierwsza zbiórka zlotu „Happy Sojourn in Our Midst”. (foto autor)



Pierwszy dzień zlotu obejmował wycieczkę krajoznawczą wzdłuż wybrzeża Portugalii. Zobaczyliśmy wspaniałe Cabo da Roca – najdalej na zachód wysunięty kraniec Europy. Majestatyczne, owiane mgłą mistycyzmu klify zrobiły na mnie ogromne wrażenie. Latarnia morska Cabo da Roca to jedno z najmocniejszych świateł nawigacyjnych starego kontynentu, towarzyszące żeglarzom przez wieki. Dziś, w erze nawigacji satelitarnej, wciąż fascynuje swym malowniczym położeniem.



Fot. 37, 38, 39 & 40. Klify i latarnia morska Cabo da Roca. (foto autor)

Zobaczyliśmy pięknie położoną plażę da Assenta, a obiad zjedliśmy w otoczonej klifami nadmorskiej restauracji rybnej. Samochody ustawiliśmy na parkingu wydartym ze zbocza klifu w dwóch rzędach, na kształt jodły, a motocykle zajęły bliższą restauracji część placu. Aparat wpadł mi w ręce niby od niechcenia i ponownie Dominika musiała przywołać mnie do rzeczywistości. Sala zarezerwowana dla naszej grupy nie była zbyt obszerna i blisko ustawione krzesła sprzyjały zacieśnianiu międzynarodowych znajomości. Mieliśmy zaszczyt dzielić strawę i wino z Antonio i jego rodziną. Czułem się zaszczycony. Kiedy okazało się, że ja i córka Jurka nie jadamy owoców morza, zakłopotany właściciel przyznał, że w jego restauracji nigdy jeszcze nie podano mięsa. Przygotowane specjalnie dla nas dwa steki przypominały konsystencją i kształtem klapki, zwane japonkami. Wychwalałem jednak pyszne mięso kontentemu gospodarzowi. Na szczęście, Dominika odwróciła uwagę zgromadzonych urządzając na stole, ku uciechu milusińskich, mini teatrzyk kukiełkowy. Kilkogodzinny obiad upłynął na rozmowach o lokalnych obyczajach i oczywiście samochodach i motocyklach. U podnóża klifu fascynowała swym położeniem mała przystań rybacka. Szum fal rozbijających się o głazy nastrojał spokojem, trudno było oprzeć się wrażeniu nieskończoności przemijania i naszej wobec niego kruchości.





Fot. 41, 42, 43 & 44. Przerwa obiadowa w takiej scenerii to nie lada gratka. (foto autor)

W dalszą drogę wyruszyliśmy nieco rozleniwieni obiadem, upałem i dłuższą przerwą, więc chyba nie zdziwi nikogo fakt, że na jednym z kolejnych rond, których w Portugalii jest równie dużo jak w Anglii, zagapiłem się. Wjechałem prosto w ręce lokalnej policji, przeprowadzającej rutynową kontrolę drogową. Zostałem poproszony o dokumenty, ale czujny Jose zjawił się nagle jak spod ziemi i wytłumaczył policjantowi moją sytuację. Grzeczny funkcjonariusz oddał mi dokumenty i obyło się bez dmuchania w balonik. Po krótkiej reprymendzie, Jose doprowadził zagubioną owieczkę do stada. Troska i uwaga naszych gospodarzy ujęła mnie. Takiej gościnności chyba nikt nie spodziewał się. Trasa wycieczki wiodła przez plażę Paimogo, Cabo Carvoeiro - kolejny przylądek, którego klify przyciągają turystów z całego świata, aż do Obidos – starego miasta otoczonego „parasolem” UNESCO. Ruiny zamku i niemal kilometrowego, ocalałego odcinka akweduktu stworzyły wspaniałą scenerię zaklętej w pułapce czasu historii.



Fot. 45. Klif ponad plażą Paimogo. (foto autor)



Fot. 46. Klif Cabo Carvoeiro. (foto autor)



Fot. 47. Parking przy akwedukcie, Obidos. (foto autor)



Fot. 48. Uliczka Obidos. (foto autor)

Dzień zakończyliśmy sutą kolacją w restauracji O Caneira, specjalizującej się w tradycyjnych potrawach z wieprzowiny. Zasmakowaliśmy nietypowych podrobów, sztuk mięsa przyrządzonych zgodnie z miejscowym obyczajem, skropionych pysznym lokalnym winem.

Powrót do naszego hotelu obfitował w nieporozumienia pomiędzy mną, TomTom'em i Dominiką. Zmęczona całonocnym podróżowaniem samochodem Dominika chciała znaleźć się w hotelu jak najszybciej. Chyba nie wspominałem, że cierpi na chorobę lokomocyjną. TomTom jednak uparcie dążył do celu prowadząc nas przez meandry przebudowywanych dróg, często upierając się przy kierunkach wiodących do nikąd. Miałem wrażenie, że wszystkie drogi prowadzą pod pewien wiadukt w budowie, niewątpliwie bardzo daleko od Rzymu. Musiałem więc wyciszyć natrętny głos, powtarzający z uporem maniaka kuriozalne komendy i skupić się na znakach, wskazówkach i zdrowym rozsądku. Myślę, że przejechaliśmy tego wieczoru niepotrzebnie kilkadziesiąt kilometrów. Wypoczynek był raczej krótki, a złość Dominiki wygasła powoli.

Dzień drugi zlotu przewidywał całonocną wycieczkę do ruin zamku w Almourol, nad brzegiem rzeki Tag, u której ujścia leży Lizbona. Dominika, zmęczona kilkoma dniami spędzonymi w samochodzie zdecydowała, że wygrzewanie się na plaży będzie dużo przyjemniejsze. Nie jechałem jednak sam. Towarzystwa dotrzymał mi Jurek i podróż upłynęła nam szybko na rozmowach nie tylko o naszej wspólnej pasji.



Fot. 49. Poranna odprawa drugiego dnia. (foto autor)



Fot. 50. Most Ponte da Chamusca na rzece Tag. (foto autor)

Duży parking zapelnily dziesiątki samochodów BMW, wiele z nich widziałem po raz pierwszy. Grafitowa M3 E46 walczyła o laury najpiękniejszej ze srebrną 2800 CS, czarna M5 wdzięczyła się przed czerwoną coupe 2002, a biała 850 udawała, że nie widzi pięknej 2002 turbo, ozdobionej niebiesko-czerwonymi paskami M. Moja „Srebrna Strzała” (tak nazwał swojego Citroena inspektor Cluseau w niezapomnianej „Zemście



Różowej Pantery”) dumnie stała ramie w ramie z inną srebrną coupe 2800 CS oraz czerwoną Z1. Motocykle, jak zwykle, zgrupowały się nieopodal, zajęte sobą, nieczułe na piękno samochodów, jak wypoczywające konie, przywiązane do żerdzi na ranczo.



Fot. 51 & 52. Swoisty konkurs piękności na parkingu w Tancos. (foto autor)

Na miejscu czekał nas poczęstunek, którego różnorodność podbiła niejedno serce. Tradycyjne potrawy i wspaniałą kiełbasę skropiliśmy pysznym lokalnym winem z rejonu Ribatejo. Żałowałem, że nie mogłem zagłębić się w nurt smaków doskonałych win. Zadowolilem się kupnem kilku butelek od przemyłych gospodarzy. Syci, wsiedliśmy do promu, który przewiózł nas na małą wysepkę, wypiętrzającą ruiny zamku wysoko ponad rozległą panoramę. Po powrocie do Tancos, prócz sutego obiadu, czekała na nas kolejna atrakcja. Lokalny zespół folklorystyczny zaprezentował nam repertuar ludowych pieśni oraz tańców. Organizatorzy uraczyli nas kolejną porcją upominków i gadżetów reklamowych sponsorujących firm.



Fot. 53, 54, 55 & 56. Gościna w Tancos i wyprawa do ruin zamku w Almourol. (foto autor)



Droga powrotna upłynęła mi na słuchaniu muzyki. Wspomnę tu, że uwielbiam wręcz słuchać ulubionej muzyki w czasie jazdy, dlatego też nie poskąpiłem odhaczając opcje wyposażenia na liście akcesoriów. Auto wyposażone jest w najlepszy w katalogu BMW system Professional z jedenastoma głośnikami, nie licząc dwóch subwoofer'ów umieszczonych pod przednimi fotelami. Mogę więc delectować się niuansami stereofonii i wspaniałym brzmieniem muzyki Pink Floyd, wysublimowanym jazzem e.s.t., bogactwem aranżacji Riverside, czy potęga brzmienia orkiestry symfonicznej w ulubionej suicie Peer Gynt Grieg'a nawet podczas jazdy samochodem. Z przyjemnością podróżowałem sam, zastuchany w muzykę, czekając na możliwość „rozprostowania nóg” mojej „Srebrnej Strzały” na autostradzie. Tęskniłem już za Dominiką.



Fot. 57 & 58. Wysokiej klasy sprzęt audio uprzyjemnia każdą minutę podróży. (foto autor)

Po krótkiej przerwie w hotelu, powróciliśmy do znanej już nam restauracji Quinta de Santo Antonio. Tę kolację można śmiało nazwać przyjęciem. Znani w Portugalii śpiewacy zaprezentowali tradycyjne pieśni Fado. Kulminacyjnym punktem wieczoru było jednak wystąpienie wspomnianego wcześniej prezydenta portugalskiego klubu, Antonio Mota. Nie obyło się bez podziękowań, upominków i oklasków. Wspomnę tylko, że ku swemu zaskoczeniu, otrzymałem od naszych gospodarzy model historycznego samochodu BMW za najdłuższą podróż na zlot: przejechaliśmy z Dominiką niemal 3300 km. Swą obecnością zaszczycił nas także Prezydent BMW Club Europe, Pan Guy Timmerman. Nasi przyjaciele z Holandii przekazali na ręce Antonio statuetkę stworzoną specjalnie dla europejskiego klubu BMW. Jest ona przekazywana kolejnym organizatorom dorocznych Treffen. Ten wspaniały obyczaj tworzy więzy pomiędzy członkami klubów rozrzuconych po całym kontynencie. Rozmowom i toastom nie było końca i do hotelu powróciliśmy bardzo późną nocą.



Fot. 59 & 60. Uroczystą kolację uświetnili śpiewacy Fado. (foto Małżonka Jurka i autor)





Fot. 61. Nasi nowi przyjaciele z Chorwacji. (foto autor)



Fot. 62. Jurek i autor – wreszcie razem na zdjęciu. (foto Dominika)

Dzień trzeci zlotu prowadził nas wzdłuż plaż, pośród otaczających wzgórz do starego miasta Sintra. Słoneczną pogodę zakłóciła chwilowo gęsta mgła, nadciągająca znad oceanu jak ogromny wał waty cukrowej. Mogliśmy podziwiać ten nieprzenikniony dywan, rozpościerający się nad zatoką i przybrzeżnymi plażami z górskiej szosy. Bogactwo atrakcji turystycznych Sintry zaskoczyło nas. Ograniczony czas programu zlotu nie pozwolił nam jednak na zwiedzanie. Doszliśmy z Dominiką do wniosku, że nie można wyjechać stąd, nie zobaczywszy tych wspaniałości. Postanowiliśmy więc pozostać w Estoril jeszcze jeden dzień i na własną już rękę zobaczyć wszystkie atrakcje Sintry. Restauracja Quinta de Santo Antonio ponownie ugościła nas sutym obiadem, a Jurka spotkała miła niespodzianka: uczciliśmy wspólnie Jego urodziny, odśpiewując tradycyjne „sto lat” w różnych językach. Pożegnania trwały wiele godzin, wymieniliśmy adresy z naszymi nowymi przyjaciółmi i powoli rozjechaliliśmy się po Europie.



Fot. 63 & 64. Wiele klasyków zaszczyciło nas swoim widokiem. (foto autor)



Fot. 65. „Srebrna Strzała” w doborowym towarzystwie. (foto autor)



Fot. 66. Niespodzianka dla Jurka w dzień Jego urodzin. (foto autor)

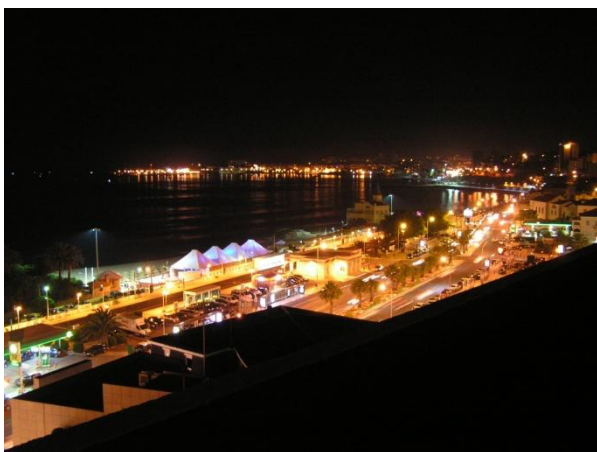


Spotkanie pod wzniosłym, lecz trafnym hasłem „Happy Sojourn in Our Midst” było wspaniałe. Gospodarze, pomimo bardzo ograniczonego czasu, ułożyli imponujący program, w którym znalazły swe miejsce wszystkie elementy podróżowania, o których wspominałem na wstępie. Poznaliśmy miejscowe obyczaje, folklor, tradycje kulinarne, wina, piękne miejsca i wspaniałych ludzi, których gościnność nie ma sobie równych. Połączyła nas nie tylko pasja motoryzacyjna, ale zamiłowanie do podróżowania, poznawania nowego. Dzięki naszym portugalskim przyjaciołom zobaczyliśmy takie oblicze ich ojczyzny, jakiego sami nigdy nie odkrylibyśmy. Trudno wyobrazić sobie bardziej wzniosły cel zlotów europejskiego klubu BMW. Dziękuję po raz kolejny organizatorom za ich serdeczność, gościnę i niezapomniane wrażenia. Mam nadzieję, że spotkamy się ponownie na kolejnym zlocie BMW Club Europe.



Fot. 67. Bohaterowie wieczoru, bez których „Happy Sojourn in Our Midst” nie odbyłoby się. (foto autor)      Fot. 68. Statuetka Treffen z 2007 r. (foto autor)

Dalszy plan naszych wakacji ułożyliśmy już sami. Nie czekał na nas żaden samolot, więc postanowiliśmy pojechać na południe Portugalii, w rejon Algarve, by po nieco męczących dniach spędzonych w samochodzie zaznać błogości plażowej nudy i hotelowego zacisza. Zaplanowaliśmy popołudniowy spacer po plaży w Estoril, wieczorną wycieczkę do Lizbony i zwiedzanie Sintry na cały następny dzień.



Fot. 69 & 70. Widok z balkonu naszego pokoju hotelowego w Estoril. (foto autor)

Kolację zjedliśmy w jednej z wielu lizbońskich restauracyjek, rozsypanych po wąskich uliczkach starego miasta. Tradycyjnie, wybór należał do Dominiki i padł na niepozorną tawernę, której stoliki ustawiono na bruku. Dodam, że stare miasto położone jest na wzgórzu, którego nachylenie jest znaczne. Dominika oczywiście zajęła pozycję taktyczną i potrawy spływały w moją stronę. Udało się jednak uniknąć ambarasu i bawiliśmy się całkiem nieźle. Stolik nasz stał przy oknie restauracji, w którym ustawiono lodówkę. Wiszące korpusy rybich trupów, czekające na swych miłośników nieco psuły mi apetyt. Na szczęście, wybrana przeze mnie potrawa nie zmuszała do długiego delektowania się. Najbardziej bawił nas brak równoległości



pomiędzy powierzchniami potraw i napojów a brzegami talerzy i kieliszków. Spacerem po Lizbonie zawiodłem się nieco. Pamiętam miasto sprzed dwudziestu sześciu lat i nie dostrzegłem zbyt wielu oczekiwanych zmian. Do hotelu wracaliśmy więc znużeni.



Fot. 71 & 72. Kolacja i spacer po Lizbonie. (foto Dominika i nieznanego biesiadnika)

Sintra uwiodła nas od pierwszego wejścia, niecierpliwie planowaliśmy więc kolejność zwiedzania przy filiżance pysznej kawy wypitej na rynku Praça de República. Stamtąd udaliśmy się do Pałacu Królewskiego, wciągniętego na listę dobrodziejstw światowej kultury UNESCO, jednego z najwspanialszych przykładów architektury romantyzmu na świecie. Dwa nietypowe, stożkowate, wysokie kominy kuchenne zapewniały efektywną, naturalną wymianę powietrza. Wnętrza pałacowe zachwycają bogactwem wyposażenia i przepychem. Ściany komnat pokryte są często ręcznie malowanymi kaflami, przedstawiającymi mityczne czy historyczne sceny. Wielość krużganków, korytarzy i alków przypomina o wpływach kultury Maurów.



Fot. 73. Malownicze położenie Sintry dodaje uroku jej zabytkom. (foto autor)

Fot. 74, 75 & 76. Pałac Królewski, Palacio Nacional de Sintra. (foto autor)



Kolejnym etapem zwiedzania Sintry były ogrody Quinta da Regaleira. Alejki wiją się w nieskończoność w górę wzniesienia, łącząc tarasy, altanki, wieżyczki, podziemne przejścia, kapliczki. A wszystko to zbudowano w stylach barokowym i romantycznym. Na myśl przychodzi mi słynne „rokoko” Stuhra z „Seksmisji”. Przeszliśmy jednak ogród z wielką przyjemnością, doceniając cień wielkich drzew i chłód podziemnych przejść. Przyległy pawilon również męczy zbyt natarczywym przepychem i mieszaniną pomysłów, choć należy docenić kunszt cieśli i stolarzy, których dzieła pokrywają całe ściany i sufity. Obiekt jest przykładem architektury romantycznej i objęty jest ochroną UNESCO.



Fot. 77, 78 & 79. Ogrody i pawilon Quinta da Regaleira dają schronienie przed południowym upałem. (foto Dominika i autor)

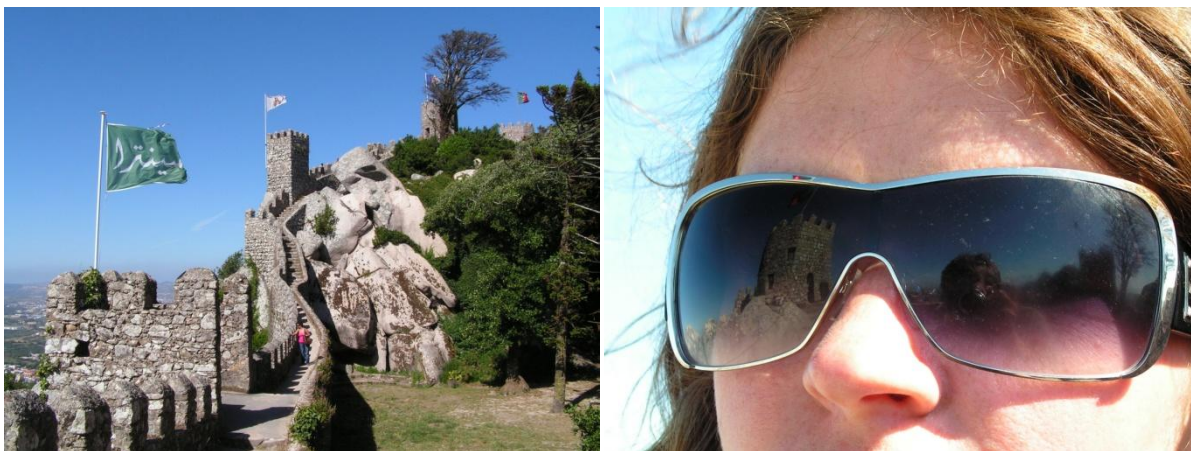
Po to, by obejrzeć Pałac Narodowy, Palacio Nacional da Pena, musieliśmy wjechać kolejką na wzniesienie, u którego podnóża zbudowano Sintrę. Bryła Pałacu opleciona jest krętymi murami, bogato zdobionymi wieżyczkami i tarasami, zgodnie ze stylem bliskowschodnim. Kształt baszt i dachów przywodzi na myśl baśnie z tysiąca i jednej nocy. Nie zdziwiłby przelatujący ponad głowami dywan, niosący szlachcica z turbanem na głowie na potajemne spotkanie z kochanką. Najbardziej jednak oczarowała nas ściana frontowa, przed głównym dziedzińcem. Cała fasada pokryta jest ręcznie malowanymi kaflami. Ogrom i bogactwo niemal przytłaczają. Po przejściu głównej bramy, możemy podziwiać wspaniałą panoramę okolicznych wzgórz, rozciągającą się aż po zalany oceanem horyzont. Wnętrze pałacu jest również bogate, a stylistyka kolejnych komnat różnorodna. Opuszczaliśmy ten jeden z siedmiu cudów Portugalii, zaliczany również do dóbr kultury światowej pod auspicjami UNESCO pełni zachwytu.



Fot. 80 & 81. Pałac Narodowy zachwyca bogactwem formy i przepychem. (foto Dominika i autor)



Ostatnim etapem długiego dnia były rozciągające się na szczycie górującego nad miastem potężnego wzniesienia ruiny średniowiecznego fortu Castelo dos Mouros. Niewysokie wieże łączy mur, odważnie stojący na krawędzi przepaści. Dolny dziedziniec kryje podziemne zbiorniki, w których gromadzono wodę deszczową poprzez szerokie szyby. Spacer wzdłuż murów ukazał nam ponownie piękną panoramę otaczającą Sintrę. Jedynie widok zatoki w oddali przypominał, że znajdowaliśmy się nad oceanem.



Fot. 82 & 83. Ogromna forteca Castelo dos Mouros góruje nad Sintrą. (foto Dominika i autor)

Pyszną kolację zjedliśmy w tej samej restauracji, w której zaczynaliśmy dzień kawą. Mały, intymny stolik, ustawiony w rogu wąskiego balkonu na półpiętrze zapewniał nam widok na cały rynek. Przyjazna obsługa i wyśmienita kuchnia zagwarantowały nam wspaniałą nastrój przed dalszą podróżą.



Fot. 84, 85 & 86. Urok Sintry pozostanie na długo w naszej pamięci. (foto autor)

Słynnym lizbońskim mostem Ponte 25 de Abril przejeżdżaliśmy już po dwudziestej, jednak dystans do pokonania nie był zbyt wielki – Dominika zaplanowała zwiedzenie starożytnego miasta Evora. Stary hotelik znaleźliśmy jeszcze przed północą. Zachwycił Dominikę prostym, lecz bardzo stylowym wystrojem. Pokój na piętrze był mały, lecz wygodny i czysty. Jak wiele miejsc w tym mieście, hotelik miał swoją historię i urzekał atmosferą zatrzymanego przed wiekami czasu. Na mnie jednak największe wrażenie zrobiły ruiny rzymskiej świątyni Templo de Diana, które wieńczą wzgórze w centrum miasta. Znaleźliśmy jeszcze siły na wieczorny spacer i małe „co nieco” (językiem Kubusia Puchatka) na jednym z rynków.

Rankiem udaliśmy się na poszukiwanie kaplicy z ludzkich czaszek. Mnie takie atrakcje trochę przerażają, więc przesiedziałem 20 minut w południowym ukropie na murku, fotografując okoliczne kamienice.



Fot. 87 & 88. Kontrast pomiędzy starożytną budowlą, a dziełem XXI wieku. (foto autor)

W dalszą drogę na południe wyruszyliśmy dość późno. Dominika, po znieczuleniu błędnika kolejną dawką Aviomarinu odpłynęła szybko w krainę Morfeusza, a ja podziwiałem piękne widoki otaczające zewsząd wstęgę autostrady. Imponujące wiadukty przewieszane ponad głębokimi dolinami, zakręty oplatające wzgórza i tunele nurkujące w zbawczy cień stworzyły niepowtarzalny obraz w mej pamięci. Ponieważ szkoda było tracić popołudnie na szukanie hotelu, postanowiłem popędzić prosto nad Cabo de Sao Vicente – kolejny wspaniały przylądek, znajdujący się w dolnym lewym rogu iberyjskiej poduszki. Głęboko wcięty w ocean cypel zrobił na mnie wrażenie większe niż Cabo Da Roca. Byłem zachwycony i fotografowałem latarnię i klify jakbym bał się, że chwila przeminie. Obiecałem sobie wrócić tam w czasie zachodu Słońca.



Fot. 89 & 90. Cabo de Sao Vicente. (foto autor)

Moja Ukochana, która zawsze musi wiedzieć gdzie i w jakim celu jedzie, dąsała się na mnie szczerze, dopóki nie dotarliśmy do najpiękniejszej plaży, jaką widziałem w swoim życiu. Plażę Praia de Beliche tworzy naturalna zatoczka otoczona ze wszystkich stron wysokim na siedemdziesiąt metrów klifem. Długa na niespełna czterysta, szeroka na osiemdziesiąt metrów w najszerszym miejscu, piaszczysta plaża była niemal pusta. Monotonny szum fal oceanu potęgował wrażenie dziewiczej pustki tego malowniczego miejsca. Miałem nieodparte wrażenie, jakbym znalazł się na tej plaży na początku świata. W oddali widać było majestatyczną bryłę przylądka Sagres. U podnóża klifu znaleźliśmy mały bar na palach, w którym głód zaspokoiliśmy pysznymi sałatkami, a pragnienie odpowiednikiem hiszpańskiej Sangrii z białego wina. Jedynie zimna woda odstręczała od kąpieli w oceanie. Dominika oczywiście zanurzyła się. Ja próbowałem tego przed laty i wspomnienie kąpieli w Atlantyku było na tyle wyraźne, że nie musiałem go odświeżać. Zająłem się więc rejestrowaniem niepowtarzalnego piękna tego miejsca. Spędziliśmy wspaniałe, beztrudne popołudnie na tej cudownej plaży i tak zaczął się okres idyllicznego wypoczynku na południu Portugalii. Dominika już nie dąsała się.





Fot. 91 & 92. Praia de Beliche; w tle Cabo de Sao Vicente. (foto autor)

Poszukiwania hotelu zakończyliśmy późnym wieczorem w miejscowości Luz. Hotel Belavista przywitał nas przyjemnym chłodem klimatyzacji i komfortem wysokiego standardu. Z tarasu naszego pokoju mogliśmy cieszyć się widokiem oceanu, kontrastującego głębią granatu z lazurowym błękitem hotelowych basenów i zielenią hotelowego ogrodu. Kolejne trzy dni upłynęły nam na kąpielach w basenie, krótkich wycieczkach, plażowaniu i zwyczajnym wypoczynku. Aura sprzyjała nam, nie męcząc upałami. Nazajutrz po przyjeździe zwiedziliśmy miasteczko Lagos, przeszliśmy miejscową plażę otoczoną czerwonymi klifami, powróciliśmy do Cabo de Sao Vicente, by podziwiać Słońce chowające się do oceanu i dzień zakończyliśmy pyszną kolacją w nadmorskiej restauracji, z której tarasu dalej podziwialiśmy majestatyczne piękno klifów Przylądka Sagres.



Fot. 93, 94, 95, 96 & 97. W kolejności: Praia de Beliche, hotel Belavista, klify i kościółek w Lagos. (foto Dominika i autor)





Fot. 98, 99 & 100. Cabo de Sao Vicente. (foto Dominika i autor)

Fot. 101. Sagres, z tarasu restauracji Telheiro, Praia da Mareta. (foto autor)

Ostatniego dnia naszego pobytu na krańcu starego kontynentu, 26-tego czerwca, odszukaliśmy słynną plażę Dona Ana, otoczoną nieregularnym klifem, dużo niższym od tych podziwianych wcześniej, upstrzoną za to zatoczkami i skałami piętrzącymi się wysoko ponad ocean. Moją uwagę zwróciła struktura skał klifu. Warstwa około trzech metrów od poziomu morza zawiera pokłady miękkich skał wapiennych, tworzonych przez pozostałości prehistorycznych muszli przeróżnego kształtu i wielkości. Po raz kolejny fascynowała mnie bezpośrednia bliskość relikwów sprzed tysięcy lat, których mogłem dotknąć. Któż z nas nie zbierał muszli na plaży? Te z Dona Ana są jednak starsze niż najstarsze kultury na Ziemi. Fascynujące: są tak stare, a tak namacalnie bliskie.



Fot. 102 & 103. Praia de Dona Ana. (foto Dominika i autor)

Nie obyło się także bez przygód. Tutejsze mewy słyną chyba z celności. Jedna nich upatrzyła sobie nas w czasie obiadu, kiedy podziwialiśmy piękną plażę z tarasu restauracji. Złośliwość mew jest nam znana,



jednak tupet miejscowych ptaków przekraczał nasze oczekiwania. Po raz kolejny mewa wzięła sobie nas za cel już na plaży. Usiadła potem na wyłomie klifu i drwiła z nas bezczelnie, chwając się przyjaciółkom swoim wyczynem. Po raz pierwszy w życiu zamarzyłem, by mieć przy sobie procę. Popołudnie upłynęło nam na wygłupach w hotelowym basenie, skropionych rozleniwiającym portem. Naśladowanie przeze mnie wyskakującej z basenu foki, zakończone poważnym ubytkiem wody, ubawiło Dominikę do łez, a innych gości hotelowych przekonało zapewne, że drzwi pokoi należy na noc zamknąć.



Fot. 104 & 105. Moje wygłupy w hotelowym basenie doprowadziły Dominikę do łez. (foto Dominika)

Nasza idylla dobiegała powoli do końca. Oboje czuliśmy, że czeka nas długa podróż powrotna, prowadząca do kilkutygodniowego rozstania. Mieliśmy jednak wciąż przed sobą podróż w nieznane, która miała nas doprowadzić do pożegnania na lotnisku w Londynie.

Wyruszyliśmy późnym rankiem, planując jeden skok przez Portugalię, Hiszpanię i Francję. Prom Norfolkline miał zabrać nas z Dunkierki do Anglii następnego dnia. Jak postanowiliśmy, ja miałem poprowadzić do wieczora, a Dominika, nafaszerowawszy się Aviomarinem, miała przespać tę część drogi, by przejąć kierownicę na noc. Nikt z nas nie przypuszczał, że i ta część podróży zdobędzie miano wakacyjnej przygody. Zaczęło się niewinnie. Mijając stację benzynową zerknąłem na wskaźnik poziomu paliwa. Obliczyłem, że benzyny wystarczy, by dojechać do następnej stacji. Nie wziąłem jednak pod uwagę tego, iż zjeżdżaliśmy z autostrady na północ, a drogowskaz podawał odległość do stacji na wschód. Komputer pokładowy pokazywał już wtedy, że mogę przejechać jedynie kilkanaście kilometrów, podczas gdy do stacji benzynowej pozostało jeszcze ponad dwadzieścia. Jazda na szóstym biegu przy prędkości 50 km/h nie należy do przyjemnych. Perspektywa stanięcia na poboczu, w południowym ukropie, na kompletnym pustkowiu i łapanie okazji w kierunku stacji była niczym w porównaniu z czekającym mnie wstydem przed Dominiką i Jej gniewem. Kulałem się więc mizernie, nie dotykając prawie pedału gazu. Komputer wskazał --, czyli zero, kiedy do stacji pozostało 10 km. Znak 2 km przyjąłem z ulgą, bowiem po osiągnięciu szczytu wzgórza czekała mnie jazda z górki, na biegu jałowym. Do stacji dokulałem się, ale wierzę, że Opatrzność czuwała nad moim brakiem roztropności. Obiecałem sobie nigdy więcej tak nie ryzykować. Bak o pojemności 62 litrów wessał ponad 63 litry paliwa. Jechałem rzeczywiście na oparach... „Srebrna Strzała” spisała się ponownie na 6-tkę. A Dominika, nieświadoma miałem nadzieję, moich traumatycznych przeżyć, przewróciła się na drugi bok i coś nieskładnie wymamrotała. Czy była to reprimenda, nie dociekałem.

Każdy z nas słyszał o muzeum Guggenheim'a w Bilbao. Przekonałem Dominikę, że nadarzyła się być może jedyna okazja, by zobaczyć ten cud współczesnej architektury. Musieliśmy jedynie zboczyć nieco z trasy. Droga na północy Hiszpanii zmieniła się. Zjeżdżaliśmy z płaskowyżu w nadmorską dolinę. Wstęga autostrady wiła się malowniczo między zalesionymi górami, nierzadko przerzucana z jednego zbocza na inne długimi, wysokimi wiaduktami. Była to kolejna chwila, w której zachwyciło mnie piękno przyrody i

mądrość człowieka, który nie zburzył jej odwiecznego spokoju budując autostradę. Ta, wrosła niemal we wszechobecne góry i lasy, oplatając swą nicią malownicze zbocza.

Do Bilbao dojechaliśmy przed dwudziestą, a TomTom niezawodnie doprowadził nas do ekstrawaganckiej bryły muzeum Guggenheim'a. Zainteresowanie zakochanej w starociach Dominiki tą na wskroś nowoczesną budowlą dalekie było od mojego entuzjazmu. Obszedłem muzeum ze wszystkich stron, przeszedłem na drugą stronę rzeki, by uchwycić niuanse tej śmiałej, lecz harmonijnej konstrukcji w obiektywie. Trudno wyobrazić sobie piękniejszy moment na fotografowanie, jak zachód słońca. Mieliśmy także okazję obejrzeć spektakl baletowy, w którym autor-tancerz przedstawił historię istoty szukającej szczęścia, borykającej się z niebezpieczeństwami życia. Niemał alegoryczna wymowa przedstawienia, potęgowana przez otoczenie muzeum, a także bardzo ciekawy podkład muzyczny, zainteresowały sporą grupę przechodniów i zwiedzających.



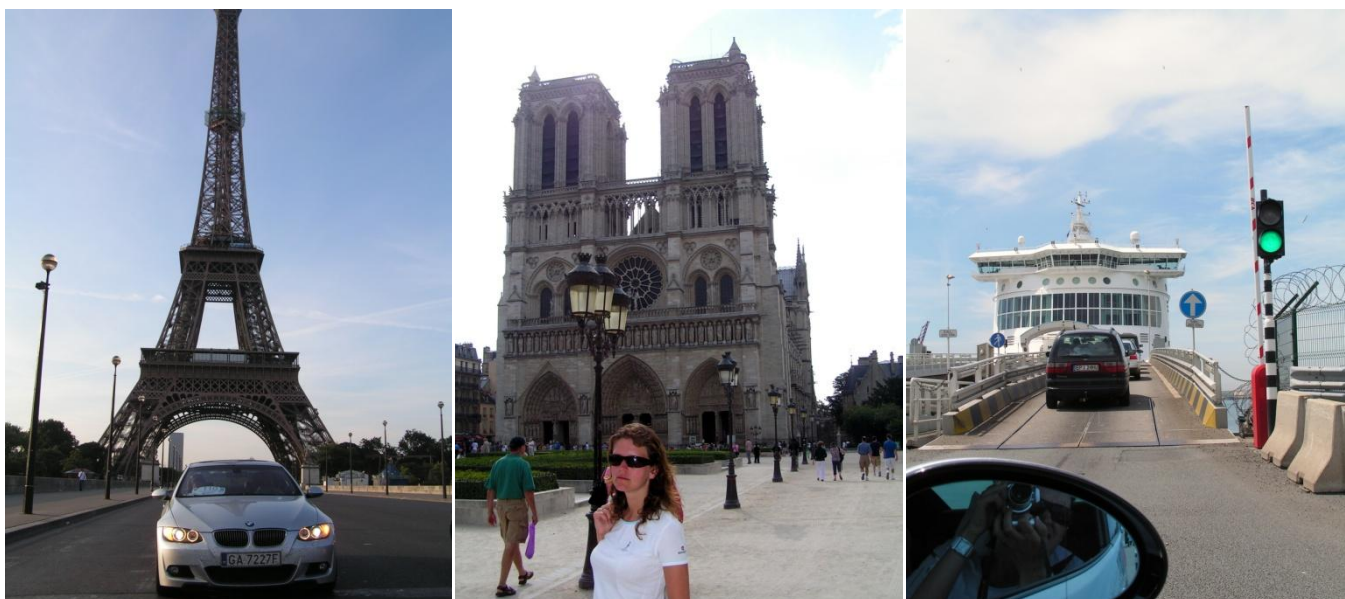
Fot. 106 & 107. Muzeum Guggenheim'a, Bilbao. (foto autor)

Kolację zjedliśmy w wyszukanej nieopodal, oczywiście przez Dominikę restauracji El Charro Loco. Meksykańskie potrawy były ciekawe, pikantne i niewątpliwie pyszne. Ponowny strzał w dziesiątkę. Do dziś zastanawiam się, na czym polega sekret Dominiki. Nie ma znaczenia w jakim kraju jest, zawsze wyszuka coś pysznego, oryginalnego, co sprawi, że ponownie uraczy Świat swym uśmiechem. Po wieczornej sesji zdjęć muzeum, ruszyliśmy w dalszą część podróży. Czułem się jeszcze na siłach prowadzić samochód, więc Dominika zajęła pozycję embrionalną na siedzeniu obok i jej oczy zasnuła mgiełka nieobecności. A szkoda. Autostrada wiodła przez góry, wijąc się nieprzerwanie, wznosząc się i opadając bez chwili wytchnienia. Jazda z prędkością 120 km/h była tak absorbująca, że nie mogłem pozwolić sobie na moment nieuwagi. Zakręty były ostre, zdradliwe. Ale takie wymagające drogi lubię najbardziej. Wejście w rytm autostrady nie było więc trudne i płynne ruchy kierownicy, bez nadużywania pedału gazu wystarczyły, by auto szybowało nad przepaściami, wśród pionowych skał i lasów, niczym szybowiec. Doskonale zestrojony układ jezdny i kierowniczy po raz kolejny sprawiły, że każdy przejechany kilometr był uctwą. Żałuję jedynie, że nie mogłem podziwiać tego krajobrazu za dnia. Światło księżyca wydzielało mi widoki bardzo skąpo. Po przejechaniu granicy Francji, już po północy, kiedy zmęczenie dopadło mnie wreszcie, Dominika przejęła kierownicę z ochotą. Próbowałem spać, jednak adrenalina nie chciała opuścić organizmu tak łatwo. Zasyptałem więc długo, ciągle zerkając na drogę przed nami. Dominika uraczyła się swoimi ulubionymi płytami i ochno mknęła na północ. Już miałem zasnąć, zamknąwszy oczy, gdy obudził mnie gwałtowny ruch samochodu. Kiedy otworzyłem oczy, zobaczyłem przed nami ciężarówkę z przyczepą, która nieubłaganie przejeżdżała z prawego pasa na lewy nie zważając na to, że podróżowaliśmy tym pasem z prędkością dużo większą od prędkości owej ciężarówki. Wszystko to działo się w ułamkach sekundy, kiedy zaczynaliśmy wyprzedzać przyczepę. Dominika ostro hamowała, tuląc się do lewego skraju jezdni, bardzo niebezpiecznie blisko barier



ARMCO i próbując opanować myszkowanie samochodu, którego lewe koła toczyły się już po kurzu pobocza. Cudem, kierowca ciężarówki ocknął się i powrócił na swój pas ruchu. Był chyba równie przerażony, jak my. Muszę z dumą powiedzieć, że Dominika jest wyśmienitym kierowcą i niejeden męski szowinista czułby się zakłopotany. Ta sytuacja pokazała, że refleks, opanowanie i błyskawiczne myślenie wybranki mego serca wykraczają poza ramy przeciętności dobrego kierowcy. Uratowała nam zwyczajnie życie.

Dalsza część drogi zleciała nam na sprzeczce, spowodowanej moim czepianiem się, nie pamiętam już czego. Chodziło mi chyba ogólnie o prędkość i obawy przed fotoradarami. Dominika, równie zmęczona, obraziła się więc na prowadzenie auta i do Paryża wczesnym rankiem 28-ego czerwca wjechałem ja. Po zaparkowaniu samochodu przy katedrze Notre Dame, obok pięknego Maserati GT, udaliśmy się na spacer pod wieżę Eiffel'a, a francuskie śniadanie zjedliśmy w knajpce La Bucherie, nad Sekwaną. Po drugiej stronie rzeki górowała katedra. Ja przysypiałem, a Dominika wchłaniała atmosferę słonecznego, paryskiego poranka. Obok, grupa młodych ludzi zapełniała początek dnia gwarem, wyraźnie dając światu do zrozumienia, że końca nocy jeszcze nie zaakceptowali. Kelner, z typową dla Paryżan, jak twierdzi Dominika, swobodą, żonglował dowcipem i nonszalancją. Świeża bułeczka z konfiturą, filiżanka wybornej kawy, kilka nieśmiały uśmiechów Dominiki i moje dąsy spowodowały, że ten jakże urokliwy poranek wspominać będziemy z mieszanymi uczuciami do czasu, gdy spojrzenie na siebie sprzed lat wywoła nasz gromki śmiech. Jakże szkoda zmarnowanych szans na śmiech, na chwile szczęścia, jak bezwartościowe są złości...



Fot. 108, 109 & 110. Paryski poranek i baza promowa w Dunkierce. (foto Dominika i autor)

Na niebieski prom „Maersk Dover” wjeżdżaliśmy już po trzynastej, a dwie godziny później podziwialiśmy Białe Klify Dover. Byliśmy niemal na miejscu. Czekał na nas hotelowy pokój, który miał zapewnić nam wypoczynek: Dominice przed porannym lotem do Gdańska, a mnie przed ostatnią częścią podróży do Liverpool. Pomny niezbyt miłego poranka, postanowiłem wynagrodzić Dominice niepotrzebne zdenerwowanie wizytą w twierdzy Dover, wybudowanej przez Henryka VIII, który zasłynął z zamiłowania do żeniaczki, a raczej do pozbywania się niechcianych żon. Dominika, nie podejrzewając niczego, zdała się na moją znajomość terenu. Jej radość była nieco większa, gdy okazało się, że trafiliśmy na imprezę plenerową, na której pokazywano życie dworskie z epoki. Na dziedzińcu zamku odbywały się popisy jeździeckie, strzeleckie oraz walki rycerskie. Jarmarczne stoiska zachęcały do kupowania lokalnych wyrobów i pamiątek, a błazen rozbawiał gości popisami niezręczności i głupkowaną miną. Jak dobrze było znów widzieć uśmiech Dominiki...



Fot. 111 & 112. Zamek w Dover. (foto autor)

Wydawało się, że przemyślnie zarezerwowany przeze mnie hotel jest tak blisko lotniska, iż będziemy mogli dotrzeć do niego ze sporą rezerwą czasu. Tymczasem okazało się, że drogi wokół lotniska Stansted są częściowo w przebudowie, a korek o godzinie 7-mej, 29-tego czerwca przerósł moje najśmielsze oczekiwania. Samochody przesuwały się tak wolno, że spóźnienie się Dominiki na samolot nabierało całkiem realnych kształtów. Szybka decyzja około 300-tu metrów od lotniska wypchnęła Dominikę na gorszą stronę drzwi samochodu. Walcząc z ciężką torbą podręczną i dwukólką walizy, starała się przemieszczać szybciej ode mnie. Było mi tak strasznie przykro i głupio, nie potrafiłem Jej pomóc i byłem zły na siebie za to, że nie przewidziałem takiego rozwoju wypadków. Anglia o poranku...

Zaparkowałem samochód, wpadłem jak szalony do hali lotniska, a zdezorientowana Dominika stała z bagażami, nie wiedząc gdzie odprawić się. Pobiegliśmy więc do odpowiedniego stanowiska i odprawiliśmy bagaż w ostatniej niemal chwili. Pożegnanie było szybkie, nerwowe i nie warto opisywać niczego, poza moim smutkiem, obawą o Dominikę i nadzieją, że długie tygodnie rozstania miną szybko. Przed nami były plany wakacji z dziećmi, być może w Hiszpanii. Ale to już zupełnie inna historia.



Fot. 113. Jedna z bram wjazdowych na tor wyścigowy Silverstone. (foto autor)

Wyjechałem z parkingu sam. Pustka po Dominice była przerażająca. Nie potrafiłem wypełnić jej ani muzyką, ani wizytą na słynnym torze w Silverstone tego samego popołudnia. Zżyłem się z widokiem Jej zamkniętych podczas snu powiek, z rozmowami bez końca, Jej dłońmi, śmiechem i tymi chwilami, kiedy milczałem, ciesząc się cichutko z Jej obecności, z naszego szczęścia. Powinienem być częściej Jej o tym mówić. Czuję złość, żal i niedosyt. Te dwa tygodnie upłynęły tak szybko, jednak przeżyliśmy razem tak wiele wspaniałych chwil, które już zawsze będą nasze.



Odkryłem także kolejną prawdę o podróżowaniu samochodem we dwoje. Ograniczona przestrzeń kabiny i bliskość obcowania z ukochaną osobą to niepowtarzalna szansa by poznać się lepiej, by zrozumieć te proste, wydawałoby się, mechanizmy sterujące nami, by dojść do wniosku, że największym szczęściem jest wędrować przez życie razem, ciągle zapełniając bezdenne plecaki wspólnych doznań. Ta podróż zbliżyła nas do siebie jeszcze bardziej, pokazała nam siebie takimi, jakimi jesteśmy: czasem kochanymi, mądrymi, pięknymi, dzielnymi, czasem nieznośnymi, ułotnymi, głupimi, słabymi, lecz ciągle gotowymi do kolejnej, wspólnej podróży.



Fot. 114. Nasze jedyne wspólne zdjęcie z całej wyprawy. (foto Jurek)

Mojej Wspaniałej Dominice, Wielkiej Miłości, dawczyni szczęścia.

Orfeusz